

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

7

– Doprawdy?
– Wczoraj udałem się do Belleville i agent, jak anioł stróż, nie odstępował mnie z oddalenia na krok jeden, bacząc na każdy mój ruch i słowo.
– Nie widzę w tem nic złego.
Cypryan Leduc wzruszył pogardliwie ramionami i uśmiechnął się ironicznie.
– Złego! No, zapewne, nie było w tem nic złego dla mnie! – odparł z podrażnieniem. – Ale przez takie nieogłędne postępowanie władz policyjnych wszyscy należący do rodziny Bonnet d'Esclairs narażeni są na silne niebezpieczeństwo, jak to raz już powiedziałem. Mogą zostać wymordowani podstępnie i nikt nie będzie w stanie przewidzieć wcześniej, jaką porę i broń wybierze morderca dla dopełnienia swojego czynu. Czy rozumie pan teraz, że prokurator uczyniłby daleko rozsądniej, pozostawiając mi wolne pole do badania i śledzenia ze swojej strony?
– Rzeczywiście, pan ma słuszość – potwierdził baron – i jeżeli będziesz u prokuratora, to powinienś uwagi tej mu udzielić.
– Tak jest, proszę pana. Niech mu pan powie, aby ajenci jego pozostawili mnie w spokoju, bo najmniejsza nieostrożność, lub nietakt z ich strony zniszczyć może poszukiwania, które już przedsięwziąłem, a mogą one dojść do zamierzonego rezultatu tylko w takim wypadku, jeżeli w mordercy nie zrodzi się podejrzenie, że jest przezemnie śledzony. Zresztą – dodał Cypryan Leduc, zmierzając ku wyjściu – mają panowie mój adres i jeżeli w policyi potrzebować będą szerszych wyjaśnień, chętnie niemi w każdej chwili służyć będę. Żegnaj państwu!
Cypryan Leduc skłonił się lekko i wyszedł po tych słowach.

– Szczególny człowiek! – rzekł Henryk Berthaud, zaledwie się za nim drzwi zamknęły.
– A jeszcze szczególniejsza sytuacja! – uzupełnił baron. – Ale doprawdy, po co się tak przejmować tem zdarzeniem! Ta biedna Olivia odchoruje jeszcze to wzruszenie! Trzeba jaknajprędzej odpędzić od nas te niepokojące myśli. No, cóż, moja kochana, czy czujesz się już lepiej? – dodał, zwracając się serdecznie do młodej kobiety.

– Oh, tak... rzeczywiście... lepiej mi już – odparła lakonicznie Olivia... A jednak ta perspektywa, którą mamy przed sobą, nie może dobrze wpłynąć na nas...

– Poprosimy Henryka, ażeby czuwał nad nami. Chciałbym zobaczyć człowieka, któryby potrafił dostać się aż do mnie, pomimo woli i ostrożności, jaką się otoczymy.

– Możesz liczyć na mnie, mój kochany – pospieszył zapewnić Berthaud. – Udam się natychmiast do dyrekcyi policyi i będziemy musieli dowiedzieć się coś więcej o tym tajemniczym archiwście, który wydaje mi się dosyć zagadkowy i skąpy w wyjaśnieniach. Mam wrażenie, że on wie daleko więcej, niż nam tu powiedział.

XI.

Upłynęło jeszcze kilka tygodni, nie przynosząc za sobą żadnego wytłumaczenia zbrodni, popełnionych w Marsylii i górach ardeńskich. Tak, jak pierwszego dnia po ich odkryciu, osobę mordercy dalej otaczała niezbadana tajemnica i policya na żaden trop wpaść nie mogła.

Pewnego dnia Jerzy, urzędnik pracujący u Cypryana Leduc, wyszedł ze swojego pokoiku, który zajmował na ulicy Rennes i skierował się pieszo w stronę Bastylii. Była to niedziela i młody człowiek, chcąc wykorzystać ten dzień wolny od zajęć biurowych, zamierzał odbyć przechadzkę poza obrębem miasta.

Właściwie celem wycieczek niedzielnych Jerzego było od jakiegoś czasu Saint-Mandé. W dnie te pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą, można go było zawsze spotkać wychodzącego z ulicy Rennes, przechodzącego przez dzielnicę św. Antoniego i zdążającego potem machinalnie szeroką ulicą Bel-Air.

Aż do tego miejsca chód jego był zawsze powolny i miarowy: wyglądał na człowieka, idą-

cego bez celu, jedynie dla przyjemności przechadzki i często bardzo zatrzymywał się na chwilę przed wystawami sklepów lub przypatrzył się publiczności niedzielnej, spieszącej tłumnie na zabawy i rozrywki różnego rodzaju. Ale jak tylko zagłębił się w szeroką, wysadzaną drzewami aleję, zdawało się, że jakiś niepokój ożywia go nagle, oczy jego błyszczały żywszym światłem, chód stawał się bardziej nerwowy i przyspieszony i szedł już dalej, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się działo koło niego.

Dochodził w ten sposób aż do zakrętu drogi, zbaczającej ku obwodowej kolejce, skręcał szybko w lewo i zatrzymywał się niezmiennie o kilka kroków od domu noszącego numer 36.

Ten dom, jak to już było wspomniane, znajdował się w głębi ogrodu, poza którym ciągnęła się wąska, nieuczęszczana nigdy uliczka i na którą wychodziły północne okna naukowego instytutu pani Bourgeois.

René nie pozostawał długo w tem miejscu obserwacyjnym. Po krótkim wypoczynku, który mu powracał utraconą odwagę i panowanie nad sobą, kierował się na wąską uliczkę ciągnącą się pod ogrodzeniem zabudowania.

Znajdowały się tam w starym, zniszczonym murze, drzwi małe o zardzewiałym zamku. Jerzy podchodził do nich i upewniał się silnem popchnięciem czy są zamknięte, poczem znowu oddalał się o parę kroków i usiadłszy na ławce, czekał.

Powód tych tajemniczych niedzielnych wycieczek młodego człowieka był bardzo naturalny.

Jednego dnia, w alejach lasu St. Mandé, Jerzy spotkał młodą dziewczynę, pozostawioną tam samą z żartów przez towarzyszek i która onieśmielona, drżąca i wylękniona szukała na próżno wyjścia z gąszczów zaciemniających się coraz więcej.

Jerzy był z natury bardzo nieśmiały, ale młoda dziewczyna miała wygląd tak zmieszany i zaniepokojony, że zdobywszy się na ostateczną odwagę podszedł do niej i zapytał uprzejmie:

– Przepraszam panią, o ile się nie mylę, zabiłakała się pani w lesie?

– Rzeczywiście – odpowiedziała młoda dziewczyna – przyjaciółki, które mi towarzyszyły, rozbiegły się nagle w różne przeciwne strony, chciałam za niemi pobić, a że nie znam dokładnie tych miejsc, zblądziłam z drogi.

– Jeżeli pani pozwoli, to ja wskażę.

– Ależ panie...

– Nie pójdziemy daleko... znajdujemy się niedaleko stawu, a stamtąd już...

– Kiedy obawiam się...

– Niech pani bez obawy przyjmie moje propozycje. – nalegał Jerzy – Nic pani w moim towarzystwie grozić nie może.

Młoda dziewczyna zgodziła się w końcu, noc nadchodziła i sytuacja stawała się z każdą chwilą bardziej nieprzyjemną.

Ruszyli więc wskazaną przez Jerzego ścieżką, tak onieśmieleni oboje, że nie mogli się zdobyć nawet na słowa najbanalniejszej rozmowy. Niekiedy tylko spojrzenia ich pociągnięte jakąś magnetyczną siłą zbiegły się ze sobą i wówczas młoda dziewczyna jeszcze silniej zmieszana, szybko odwracała głowę. Po upływie jednak kilkunastu minut rozległy się po lesie donośne wołania:

– Gilberto! Gilberto, gdzie jesteś!

Młoda dziewczyna zatrzymała się.

– Wołają mnie. – rzekła, uśmiechając się z zadowoleniem – To towarzyszeki moje, pójdę się z niemi połączyć.

– Oh! Już! – szepnął mimowoli Jerzy, któryby chętnie pragnął przedłużyć tę chwilę.

– Tak trzeba... ale jestem panu bardzo wdzięczna za pomoc tak chętnie okazaną i nie zapomnę nigdy usługi jaką mi pan wyświadczył.

– Panno Gilberto! – błagalnie wyszeptał Jerzy.

Ale ona go już nie słyszała. Pobiegła szybko w stronę, skąd dochodziły niemilkące wołania i wkrótce zniknęła w gąszczach lasu.

Chwila ta trwała bardzo krótko, wystarczyła jednak do wzbudzenia miłości w dwudziestoletniem sercu Jerzego.

Od tego dnia młody człowiek nie zaniedbał nigdy w niedzielę udać się do lasu w St. Mandé.

Kilka razy ujrzał z daleka Gilbertę przechadzającą się z towarzyszkami i tak zrećźnie umiał się ukryć przed oczami drugich, że mógł być tylko przez nią widzianym.

Raz nawet rozmawiał z nią krótko, nie wzbudzając podejrzeń w jej przyjaciółkach.

Gilberta dnia tego, jakby rozmyślnie odłączała

się od towarzystwa i szła wolno, pogrążona w głębokiem zamyśleniu.

Jerzy skorzystał ze sposobności i odważył się podejść do niej.

Gilberta nie okazała się ani zdziwioną, ani zagniewaną. Uśmiechnęła się serdecznie i pierwsza wyciągnęła do niego rękę na powitanie.

Kiedy się pożegnali po krótkiej rozmowie, wiedzieli oboje, nie wyznawszy sobie jednak tego, że odtąd życia ich związane zostały nierozwalnymi więzami.

Innego dnia, znowu przypadek połączył ich na chwilę. Zima już nadchodziła, przechadzki po lesie musiały ustać z konieczności. Jerzy był dziwnie smutny dnia tego i kiedy mówił do Gilberty, lzy błyszczały w jego oczach.

– Co panu jest, panie Jerzy? – zapytała zaniepokojona.

– Co mi jest? – odparł z przygnębieniem – Czy pani tego nie rozumie? Przyzwyczaiłem się tak widywać panią każdej niedzieli i wyczytałem w oczach pani, że i tobie te spotkania nie są niemiłe. Zdawało mi się, że zajmuję w pani życiu miejsce jakieś, bo moje jest tylko twoją osobą wypełnioną, Gilberto. A teraz, jestem zmuszony powrócić do mojej samotności. Życie moje stanie się tak jak dawniej smutne i ciężkie.

Gdybyś wiedziała, Gilberto!

– Panie Jerzy! – szepnęła młoda dziewczyna dziwnie zmieszana tym wybuchem.

– Niech mnie pani nie odpycha od siebie!

– Więc czego pan żąda odemnie?

– Jednej, jednej tylko rzeczy, której mi pani odmówić nie może, bo nie obrazi pani w niczem...

– Cóż takiego?

– Chcę widzieć panią niekiedy.

– To niemożliwe!

– Niech pani tak nie mówi.

– Już więcej do lasu wychodzić nie będziemy!

– Zapewne, ale gdyby pani chciała, mogłaby zostawić niekiedy w niedzielę furtkę od zagrodzenia otwartą i mógłbym wejść niedostrzeżony przez nikogo. Oh, Gilberto! Widzieć cię tylko!

Widzieć, chociaż na chwilę! Uniosę ze sobą to wspomnienie, które będzie osłodą długich dni pozbawionych twojego widoku. – Gilberta nie odpowiedziała zaraz. Wahała się, przełknięta, mając przeczucie, że to, o co prosi tak gorąco młody człowiek, stać się nie powinno i pociągnąć może dla niej nieprzyjemne następstwa.

– Nie wiem, panie Jerzy – odparła wkońcu niepewnym głosem – nie wiem, czy tak będzie dobrze... nic panu obiecać nie mogę...

Mówiąc to, pożegnała go szybko i odeszła. Ale kiedy w następną niedzielę Jerzy znalazł się na wąskiej uliczce poza zakładem pani Bourgeois, dostrzegł z radością, że furtka była lekko uchylona...

Od tej pory nigdy już zamknięta nie była. Przybywał zawsze o tej samej godzinie, nadsluchiwał, chcąc przekonać się, że nie grozi mu żadne odkrycie i wchodził do ogrodu, gdzie spędzał kilka chwil w towarzystwie Gilberty.

Otóż tego dnia właśnie, tak, jak było już zaznaczone, Jerzy, przybywszy pod budynek, w którym mieścił się zakład pani Bourgeois, skonstataował ze zdziwieniem, że furtka była zamknięta. Wydało mu się to dziwnem, ale w przekonaniu, że Gilberta opóźniła się tylko i wkrótce nadejdzie, usiadł na ławce, znajdującej się w pobliżu i czekał.

Dwadzieścia minut upłynęło, żaden szmer nie doszedł go z tamtej strony ogrodzenia i młody człowiek zaczął się już na dobre niepokoić, czy jakie nieszczęście nie spotkało Gilbertę, lub tajemnica ich, dotąd tak dobrze utrzymana, nie została przejęta przez jej towarzyszeki, kiedy nareszcie stare drzewczki skrzypnęły na zawiasach i rozwarły się lekko, przepuszczając jasną głowę młodej dziewczyny.

Jednym skokiem Jerzy znalazł się przy niej, chwytając gwałtownie jej rękę.

– Ah, gdybyś wiedziała, Gilberto! Byłem już tak niespokojny o ciebie!

– Dlaczego?

– To opóźnienie nasunęło mi tysiąc najdziwniejszych przypuszczeń. Lękałem się, czy nie jesteś chora, czy nie odkryto naszych spotkań.

– Ale już teraz uspokoiłeś się, Jerzy?

– Skoro cię widzę! A jednak od dni kilku czuję w sobie dziwny jakiś smutek.

– Z jakiej przyczyny?

– Nie mógłbym tego wyjaśnić... Bo wiesz, Gilberto, od pierwszej chwili, w której cię po-